

Ucieczka Kropotkina

Fragment książki "Rosja podziemna"

Siergiej Stiepniak-Krawczyński

Pewnego wieczoru w połowie stycznia 1880 roku - dokładnej daty nie pamiętam - kilku emigrantów rosyjskich mieszkających w Genewie zebrało się na herbatce u swego towarzysza G.

Zebranie było dość liczne - siedem czy osiem osób - i dosyć wesołe - rzadkie zjawisko wśród emigrantów. Nasza gospodyni, piękna Rebeka G., siadła przy fortepianie - gra jej była bardzo miła i pełna wyrazu - i zaśpiewała kilka pieśni ukraińskich. Muzyka podnieciła wszystkich obecnych. Żartowali, śmieli się. Głównym tematem rozmów była ucieczka z Syberii jednego z naszych towarzyszy, o czym dowiedzieliśmy się w tym właśnie dniu.

Kiedy opowiedziano sobie wszystkie wiadome szczegóły tej ucieczki i wyczerpano wszelkie uwagi, komentarze, domysły i przypuszczenia, nastąpiła taka chwila martwej, głuchej ciszy, o której mówi się w Rosji: "narodził się dureń" lub "przeleciał cichy anioł", według uznania.

Wtenczas pod wrażeniem rozmów o ucieczce naszego towarzysza wpadła mi do głowy pewna myśl. zaproponowałem obecnym, wśród których byli Kropotkin i Bochanowski, aby każdy opowiedział o własnych ucieczkach. Prawie każdy z nas miał jakieś przygody, więc taki wieczór mógłby stać się bardzo interesujący. Propozycję moją przyjęto z gorącym aplauzem.

Kropotkin wymawiał się długo, twierdząc, że tyle razy opisywał już swoją ucieczkę, iż stało się to nudne jak flaki z olejem. My jednak nalegaliśmy tak uporczywie, że musiał wreszcie ustąpić.

- Od pierwszego dnia po aresztowaniu - zaczął - powziąłem niezłomne postanowienie ucieczki za wszelką cenę. Ale jeżeli istnieje w świecie coś niemożliwego, to chyba ucieczka z Twierdzy Pietropawłowskiej. Robiłem plany, a raczej budowałem zamki na lodzie, gdyż sam zdawałem sobie sprawę, jak są one fantastyczne. Tak minęły trzy lata. Pobyt w więzieniu do tego stopnia zrujnował moje nie nazbyt mocne zdrowie, że prawie nic już nie jadłem i ledwo mogłem utrzymać się na nogach. Na szczęście na początku 1876 roku przeniesiono mnie do szpitala Mikołajewskiego. Po kilku miesiącach znacznie się tam poprawiłem, ale starałem się udawać konającego. Słaniałem się na nogach, mówiłem ledwo dosłyszalnym szeptem, jakby język odmawiał mi posłuszeństwa. Postępowałem tak, bo myśl o ucieczce ogarnęła mnie z nową siłą, a ponieważ nadzór w szpitalu był dużo słabszy niż w twierdzy, trzeba było wszelkimi siłami starać się pozostać tam jak najdłużej.

Doktor zalecił mi codzienne spacerować, więc każdego dnia o pierwszej po południu wyprowadzano mnie na duży szpitalny dziedziniec. Strażnik z karabinem nie opuszczał mnie ani na chwilę. Powodowany nieodstępną myślą o ucieczce zacząłem uważnie przyglądać się całemu otoczeniu.

Podwórze było ogromne. Brama, zwykle zamknięta, w tym okresie była otwarta, gdyż właśnie (było to w lipcu) zaopatrywano szpital na zimę w drzewo opałowe. Ponieważ wożenie drzewa miało trwać nie więcej niż tydzień lub dwa, przy bramie nie postawiono warty. Była to bardzo pomyślna okoliczność. Spacerowałem w głębi podwórza akurat naprzeciwko bramy. Wartownik tkwił stale w pobliżu, pomiędzy mną a bramą. Ponieważ jednak chodziłem wolniej od żółwia, a jak wiadomo, dla zdrowego człowieka takie chodzenie jest bardziej męczące niż najszybszy krok, żołnierz użył więc następującego wybiegu: chodził po

linii równoległej z moją, ale o jakieś pięć kroków bliżej bramy. W ten sposób mógł wydłużyć swą drogę w stosunku do mojej o dziesięć kroków bez uszczerbku dla dozoru, ponieważ na każdym końcu swej linii był zawsze w takiej samej odległości od bramy jak ja. Obliczenie to, które wartownik robił oczywiście na oko, było teoretycznie słuszne. Skombinowałem jednak, że w chwili gdy obaj zaczniemy biec, żołnierz odruchowo zechce mnie schwytać jak najprędzej i dlatego rzuci się w moją stronę, zamiast biec wprost ku bramie i przeciąć mi drogę. W ten sposób będzie miał do pokonania dwa boki trójkąta, a ja tylko jeden.

A więc na tym polegała moja przewaga. Mogłem liczyć, że przy jednakowej szybkości dobiegnę do bramy wcześniej niż strażnik. Prawdę mówiąc spodziewałem się, że będę biegł szybciej, ale nie byłem tego zbyt pewny, ponieważ wciąż jeszcze czułem się mocno osłabiony.

”Jeżeli - rozważałem - przy bramie będzie na mnie czekać powóz, do którego łatwo wskoczyć, to ucieczka może się udać”.

Zamierzałem właśnie napisać list do przyjaciół i przesłać im pierwszy rzut tego planu, gdy otrzymałem od nich kartkę, zdradzającą, że oni również projektują coś podobnego. Zaczęła się korespondencja. Nie będę opisywał planów i projektów wysuwanych i odrzuconych, było ich tak dużo! Należało rozstrzygnąć kilka kwestii. Czy, jak proponowali niektórzy, ktoś z naszych wejdzie na podwórze, aby w ten czy inny sposób zatrzymać strażnika? Gdzie będzie stać powóz: przy bramie czy na rogu budynku szpitalnego, aby mniej rzucał się w oczy? Czy oprócz woźnicy będzie w nim siedział ktoś swój?

Zaproponowałem plan najprostszy i zwyczajny, który został ostatecznie zaakceptowany. Nikt nie będzie wchodził na podwórze. Powóz będzie czekać na mnie tuż przy bramie, ponieważ czułem się zbyt słaby, aby dobiec do rogu. Jeden z moich przyjaciół, nieboszczyk Orest Weimar, zaofiarował się siedzieć w nim w charakterze wielkiego pana, aby w razie potrzeby pomóc mi wskoczyć jak najprędzej do powozu, a przede wszystkim natychmiast mnie ubrać, ponieważ musiałem uciekać w samej bieliźnie.

W szpitalu nie dawano nam żadnego ubrania oprócz długiego szpitalnego szlafroka. Była to niezgrabna kapota, szeroka, niewygodna i tak długa, że w czasie spaceru musiałem nosić w ręku swój własny ogon. Ucieczka w takim stroju była nie do pomyślenia. Przed skokiem do bramy należało zrzucić szlafrok i to w tempie błyskawicznym, gdyż strata jednej sekundy mogła wszystko popsuć. Przez wiele dni ćwiczyłem się w swojej celi w najszybszym wykonaniu tej operacji.

Stwierdziłem, że szybkie jej przeprowadzenie wymaga, aby rozdzielić ją na trzy zasadnicze ruchy, jak to robią żołnierze przy manewrowaniu karabinem: raz, dwa, trzy.

Pozostawało najtrudniejsze - wybór odpowiedniej chwili. Zależało to oczywiście od sytuacji na ulicach, przez które trzeba było jechać. Tabor z drzewem opałowym, patrol policyjny, kozak na koniu - wszystko to mogło zniweczyć cały zamiar, tym bardziej że ulice, przez które mieliśmy przejeżdżać, były wąskie i kręte. Należało więc otoczyć całą trasę czujną obserwacją i zawiadomić mnie, kiedy nie będzie na niej żadnych przeszkód. W tym celu zostali rozstawieni wartownicy w czterech różnych punktach. Piąty wartownik po otrzymaniu sygnałów od tych czterech powinien był dać mi ostateczny znak. Postanowiono, że

znakiem tym będzie czerwony dziecinny balonik. Balonik miał wylecieć spoza wysokiego muru szpitalnego, za którym stał wartownik.

Ze swej strony proponowałem, aby postawiono jeszcze szóstego wartownika nieco dalej, przy wylocie jednego z zaułków, ponieważ według moich obliczeń ten wąski zaułek miał taką długość, że wóz, który wjechałby weń w momencie, gdy nasz powóz ruszy, niechybnie zagroziłby nam drogę; nie zdołałby dojechać do końca zaułka podczas trwania naszej jazdy od bramy szpitala do początku zaułka. Ponieważ jednak brak było ludzi, tego szóstego wartownika nie postawiono.

W oznaczonym dniu wyszedłem na przechadzkę bardzo podniecony i pełen nadziei. Ale patrzę i patrzę w to miejsce muru, skąd miał wylecieć czerwony balonik - i nic! Zbliża się koniec spaceru - i nic! Spacer się skończył, skończyła się moja nadzieja. Z właściwym wszystkim więziom przewrażliwieniem snułem najczarniejsze przypuszczenia i nie miałem żadnych wątpliwości, że wszystko bezpowrotnie stracone.

A w rzeczywistości była to czysta bzdura. Dziwnym zrządzeniem losu nasi nie mogli nigdzie dostać czerwonego balonika, ani na targu, ani w żadnym sklepie zabawkarskim, które oblecieli tego rana. Wszędzie były tylko białe i niebieskie, których nie chcieli brać i słusznie, bo w umówionych znakach nie wolno wprowadzać żadnych, choćby najdrobniejszych zmian. Pobiegli wreszcie do sklepu wyrobów gumowych i kupili tam czerwony pęcherz, który napełnili gazem. Lecz sporządzony tym sposobem balonik okazał się tak kiepski, że gdy wartownik puścił sznurek, balon, zamiast poszybować w chmury, wzniósł się w górę zaledwie o kilka arszynów i nie osiągnął nawet szczytu muru szpitalnego. Rozwścieczony wartownik próbował wyrzucić go w górę wprost ręką, ale mu się to jeszcze bardziej nie udało.

Temu przypadkowi zawdzięczam wiele godzin męczarni, ale i swoje ocalenie zarazem, ponieważ w tym momencie, gdy wypuszczono balonik, tabor wozów z drzewem wjeżdżał do tego długiego zaułka, przy którym nie było wartownika. Zatarasowałby on nam drogę i wtedy wszystko przepadłoby bez żadnej wątpliwości.

Nastąpiła przerwa dla przeprowadzenia korespondencji w sprawie koniecznych zmian. Postawiono oczywiście nowego wartownika u wylotu długiego zaułka. Pociągnęło to za sobą jednak modyfikację całego planu, gdyż z tego miejsca za murem, skąd powinienem otrzymać ostateczny znak, nie można było dojrzeć sygnałów wszystkich pięciu wartowników. Należało albo wprowadzić nowych ludzi do przekazywania sygnałów, albo zmienić ostateczny sygnał. Wybrano to ostatnie.

Jeden z naszych wynajął pokój na drugim piętrze naprzeciwko szpitala. Z okien tego pokoju można było widzieć nie tylko wszystkich pięciu wartowników, ale również podwórze, po którym spacerowałem. Do sygnalizacji miały być użyte skrzypce, na których towarzyszy nasz miał grać, gdy wszystkie sygnały były w porządku, i przerywać za każdym razem, gdy zachodziła jakaś przeszkoda. System ten miał jeszcze tę zaletę, że wskazując czas odpowiadni do ucieczki, pozostawiał do mego uznania wybór najdogodniejszego momentu.

Pierwszego dnia, gdy wszystko było już przygotowane i powóz czekał na mnie przy bramie, tym razem z mojej winy towarzysze musieli przeżyć kilka paskudnych chwil. Choroba moja wzmogła się i poczułem się tak osłabiony, że nie zdecydowałem się na tę ostateczną

próbę. Nie wyszedłem wcale na spacer i towarzysze myśleli, że policja coś wykryła i dlatego nie wyprowadzono mnie na dziedziniec.

Po dwóch dniach poczułem się zdrowszy i postanowiłem wykorzystać przerwę spowodowaną moją chorobą.

Przygotowałem wszystko: przymocowałem buty, ponacinałem gdzieś szlafrok, aby go łatwiej było zrzucić, jednym słowem wszystko.

Wyprowadzono mnie na spacer. Gdy się tylko zjawiłem na dziedzińcu, natychmiast zaagrały skrzypce. Muzyka brzmiała z pięć minut, ale nie chciałem wykorzystywać tej pierwszej dogodnej chwili, gdyż na początku straż mimo woli jest zawsze bardziej czujna. I oto skrzypce milkną: po dwóch minutach na dziedziniec wjeżdżają dwa wozy z drzewem. Skrzypce zagrały znowu.

Tym razem postanowiłem wykorzystać tę chwilę. Spojrzałem na strażnika; szedł jak zwykle po swojej linii w odległości pięciu kroków między mną a bramą. Spojrzałem na jego karabin. Wiedziałem, że był nabity. Strzeli czy nie? Prawdopodobnie nie, bo ze względu na tak małą odległość, która nas dzieliła, będzie liczył, że mnie złapie. Groźniejszy był bagnet w wypadku, gdyby zawiodły mnie siły podczas tego rozpaczliwego biegu. Ale ten wypadek mnie nie przerażał. Jeżeli pozostanę w więzieniu, to umrę na pewno. "Teraz albo nigdy" - powiedziałem sobie. Chwytałem szlafrok: raz!... Nagle skrzypce umilkły, Ręce mi opadły i poczułem się tak zmęczony, jakbym dźwignął ogromny ciężar.

Przez jeden z zaułków przeszedł patrol policyjny. Po upływie minuty skrzypce odezwały się znowu.

No, teraz już czas! Strażnik doszedł do końca swojej linii. Chwyciłem za szlafrok: raz, dwa, trzy. Już go nie ma, a ja pomknąłem do bramy jak strzała. Krzyk, nawoływanie strażnika rozlega się za moimi plecami. Jak przewidywałem, rzucił się w moją stronę, aby mnie złapać, zamiast biec na przełaj do bramy. Dzięki temu wygrałem dwa kroki. Byłem jednak tak osłabiony, że nasi, patrzący z góry z zapartym tchem na tę szaloną gonitwę, mówili, iż strażnik był w odległości trzech kroków ode mnie, a bagnet, który wyciągnął przed siebie, prawie mnie dotykał. Nie widziałem nic z tego. Słyszałem tylko jego dzikie wrzaski i krzyki wozaków składających drzewo w głębi dziedzińca.

Kiedy dobiegłem do bramy, zobaczyłem dorożkę, ale w pierwszej chwili ogarnęła mnie wątpliwość, czy to nasza, ponieważ nie mogłem poznać siedzącego w niej przyjaciela przebranego za oficera. Pragnąc zmusić go do odwrócenia się w moją stronę, klasnąłem w dłonie ku najwyższemu zdumieniu naszych, obserwujących całą tę scenę, którzy przyjęli to jako objaw radości. Oficer odwraca się, poznaje go i w jednej chwili siedzę w dorożce. Koń pomknął jak wicher, a ja czuję na swych ramionach wojskowy szynel mikołajewski, przygotowany wraz z czapką oficerską przez mego przyjaciela.

W szpitalu, jak się później dowiedziałem, powstała niesłychana panika. Na krzyk strażnika wybiegł oficer ochrony Wraz z całym posterunkiem, a gdy dowiedział się, co się stało, stracił zupełnie głowę, darł włosy, powtarzając:

- Przepadłem, przepadłem! Lećcie, łapcie go, łapcie!

I nie był w stanie wydać żadnego rozkazu. Jeden z naszych, ten, który grał na skrzypcach, zbiegł szybko na dół, podszedł do oficera i współczująco wypyttywał go, co się stało, kto

ucieł, jak, kiedy, dokąd i tym podobne, a oficer, nie posiadający się z rozpaczy, odpowiadał mu, tracąc w ten sposób drogocenny czas.

Jakaś starucha dała okropną radę:

- No cóż! - powiedziała - pokręć się, pokręć i wyjadą na Newski. Na pewno. Wyprzęgnijcie konie z tramwaju (przy szpitalu stał właśnie tramwaj) i pędźcie na przełaj. Cóż prostszego!

A my rzeczywiście tak jechaliśmy. Na szczęście nikt nie poszedł za radą przenikliwej więdźmy.

Anarcho-Biblioteka
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Siergiej Stiepniak-Krawczyński
Ucieczka Kropotkina
Fragment książki "Rosja podziemna"

chomikuj.pl
Wydane w zbiorze "Bakunin: Dzieła zebrane"

pl.anarchistlibraries.net